



Ułańska szarża (37): Pęknięte niebo

data aktualizacji: 2020.11.29



Smutny ten 2020. Wystarczyłoby już, losie, to, że taki niepełny ten sezon, taki niedokończony, i z niesatysfakcjonującym finałem w postaci nieszczęsnego Speedway of Nations (piękny stadion w Lublinie, tylko bez kibiców i bez toru do ścigania, i jeszcze bez pogody). Ale nie, los jest okrutny, więc w ciągu jednego roku odebrał nam jeszcze dwa wielkie nazwiska polskiego żuźla: Jerzego Szczakiela i Zenona Plecha.

Jestem za młoda, by pamiętać występy Szczakiela i Plecha, ale nie przeszkodziło mi to dorastać żuźlowo w cieniu ich nazwisk. Dwie legendy, dwaj medaliści Indywidualnych Mistrzostw Świata (choć tylko jeden z nich został mistrzem - ale to, zdawałoby się, jedynie błąd rzeczywistości), dwaj zawodnicy, którzy na długo po zakończeniu kariery wciąż trwali przy żuźlu, służąc radą i komentarzem. Filary. Nie czuję się kompetentna, by ich wspominać - inni zrobią to lepiej i z prawdziwym znawstwem. Ale i mnie, i całe pokolenie kibiców „po mnie” też - śmierć dwóch wielkich dotknęła i nas. Zupełnie tak, jak niezależnie od wieku przeżywaliliśmy śmierć Ivana Maugera dwa i pół roku temu.

Legendy są przecież wieczne. Legendom wręcz nie wypada tak po prostu umierać, jak zwykłym ludziom. Mistrzowie - to historie nieśmiertelne, prócz, ma się rozumieć, tych, którzy oddali życie na torze. Zdawać by się mogło, że kibicowski umysł pojmuje tylko ten rodzaj śmierci wielkich, a wszystkie inne, życia oddane w dumnym, podeszłym wieku, na łóżku, wskutek choroby lub starości - to jakieś nie do końca śmierci, nieprawdziwe i odwracalne. Nie wiem, jak wy, ale ja czasem wciąż się

łapię na tym, że nie przyjął do wiadomości, że Maugera już na tym świecie nie ma. W żuźlu go nie ma, jasne, ale przecież nie umarł. Przecież jest wieczny, tak jak wieczna będzie jego legenda. I pewna jestem, że to samo odniesie się do Szczakiela i Plecha, tym bardziej, że przecież znam ich twarze – tyle razy widziałam ich na telewizyjnym ekranie, a czasem nawet na żywo...

Możemy sobie pogratulować tego, w jakich czasach żyjemy. Mogliśmy widzieć i słyszeć Szczakiela i Plecha, mogliśmy trwać w cieniu żywej legendy Ivana Maugera. A jednocześnie: egzystujemy w czasach Golloba i Zmarzlika, w czasach sześciu złotych medali Rickardssona, w czasach wielkiej reprezentacji Polski (tej samej, pod którą fundament położyli, sami o tym nie wiedząc, dawni bohaterowie). Będzie co wspominać za wiele lat, tylu historycznym momentom świadkowaliśmy. Smutek po stracie mistrzów miesza się z poczuciem dumy i radości, że żyli w tym samym mgnieniu świata, co i my.

Ale oprócz tej wielkiej, legendarnej strony dawnych żuźlowych herosów mamy i tę prywatną, o której tak często się zapomina w zalewie świeczek w komentarzach i pragnienia, by każdy mógł pożegnać idola. Piękne są te wszystkie wspomnienia o Zenonie Plechu, które miałam okazję czytać. Wyważone, ciepłe, osobiste. To wspomnienia nie o legendzie, ale o człowieku. Przy wszystkich sportowych osiągnięciach Plech był bowiem po prostu człowiekiem – i człowiekiem pozostał. Śmierć dopadła go w wyjątkowo złym momencie – ponieważ choć wszystkie śmierci są nie w porę, to niektóre bardziej od innych. W obliczu pandemii Plech nie otrzymał należytego pożegnania, na taką skalę, na jaką zasługiwał. Ale jednocześnie może ten bardziej kameralny pogrzeb pokazuje paradoks, z którym mówimy o sportowych legendach: są one jednocześnie brązowymi herosami dla wielu i zwykłymi, bliskimi ludźmi – dla nielicznych. Dobrze pamiętać właśnie o tych niewielu, którzy pozostali, i im też okazać wsparcie w tak trudnych chwilach.

Może to i dobrze, też paradoksalnie, że tego samego dnia, co Zenona Plecha, pożegnaliśmy też Diego Maradonę. Argentyńska legenda piłki nożnej zajęła tak wiele „czasu antenowego”, że wśród wspomnień o Plechu wybrzmiewały tylko te, które naprawdę warto, by wybrzmiały. A między nimi – najważniejsze i najbardziej poruszające pożegnania: krótki wpis syna, Krystiana Plecha, człowieka, który już bardzo dużo zrobił dla rozwoju żuźla nie tylko w Polsce.

Po dawnym mistrzu pozostanie, wiem to na pewno, nie tylko pamięć o wyjątkowych biegach i medalowych szansach, nie tylko krążki i puchary, ale też właśnie czyn. To, co zaczął ojciec, syn kontynuuje – w innej roli, w innych warunkach, ale z godnym pozazdrosczenia zaangażowaniem. Niech to będzie ta ciepła, pełna nadziei myśl w trudnych dla całego żuźla dniach.

Źródło: <https://www.speedwaynews.pl/aktualnosci/item/70941-ulanska-szarza-37-pekniete-niebo>